Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Adres Redakcji „Myśli Narodowej": Zgoda 5, I piętro, tel. 275-11. Godziny przyjęć codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt. Adres Administracji: Zgoda 5, tel. 26-58

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Rok IV. Warszawa, 21 Czerwca 1924 r. № 25.



Cena numeru 25 gr.

ECHO ZZA GROBU.

Na ostatniej komisji dla spraw zagranicznych wystąpił po dłuższej przerwie „stary lew" socjalizmu sam p. Daszyński. Przywołał do pamięci, użył i spożytkował wszystkie środki krasomówstwa, jakie przepisywała dawna szkoła retorów: od świętego oburzenia, przez pewność przekonania, do ironji, wzniosłej pogardy, sentymentu i udanego natchnienia, przez wywód prawny i dowód rzeczowy, do liryzmu itd. itd. Był to przegląd wszystkich starych, powiedzmy nawet przestarzałych środków, sposobów, sztuk i sztuczek, zaczerpniętych w dawnym podręczniku dla krasomówców.

Ale po otrząśnięciu czy strzepnięciu tych figur poetycznych z jego wywodów, należy zapytać o ich treść. Jest bardzo spóźniona, już nie z dzisiejszej epoki i nie z tego świata

P. Daszyński widzi nietylko w prawicy i nietylko w poprzednim rządzie narodowym, ale i w rządzie obecnym ideologję, metody, sposób rządzenia i cele rządzenia szlacheckie. Walczy z szlachetczyzną, jako demokrata.

Kto pamięta dawniejsze czasy, ten wie, że przed 27 laty p. Daszyński zrobił we Wiedniu karjerę retoryczną przez swoje ataki na „Schlachzizenherrschaft", — szlacheckie panowanie w Galicji. Słuchali go z przyjemnością Niemcy i inne narody z austrjackiej mozaiki, ponieważ nie lubili Koła polskiego za jego wielki wpływ w parlamencie. Ze zmianą czasów, z zaprowadzeniem powszechnego głosowania w 1907 roku, fizjognomja przedstawicielstwa galicyjskiego zmieniła się do gruntu, ale p. Daszyński grzmiał dalej przeciw „Schlachzizenherrschaft". Przyszły drugie powszechne wybory w 1911 roku, i już nie z dawniejszego Koła polskiego, ale z ostatniej reprezentacji kraju zostały tylko strzępy, ale p. Daszyński widział i w niej tylko Schlachzizenherrschaft". Otrzaskali się z tym krasomówczym konikiem wszyscy niepolscy posłowie w parlamencie austrjackim, przesadzili go i daleko w tyle zostawili co do obelg na wszystko co polskie ukraińcy galicyjscy, ale on pozostał wiernym swojemu tematowi. To też, ilekroć prezydent izby poselskiej ogłaszał, że p. Daszyński zabiera głos, obcy posłowie mówili do siebie: „Jetzt kommt Neuestes über die Schlachzizenherrschaft in Galizien". Podczas wojny p. Daszyński zsiadł ze swojego konika. Wojna minęła, p. Daszyński został prezydentem republiki lubelskiej, potem przyszła Polska, potem skończył się Sejm Ustawodawczy i dzisiaj, po dwukrotnych rządach autentycznego chłopa Witosa, p. Daszyński przetłumaczył z niemieckiego swoje diatryby przeciw wszystkiemu co polskie i dnia 12 czerwca, roku 1924, zafundował nam w komisji swoje wywody z przed 27 lat o „Schlachzizenherrschaft" po polsku.

Ja nie jestem szlacheckiego pochodzenia, zaczem nie jestem w tym wiekowym sporze zainteresowany. Ale, jeżeli szlacheckie pochodzenie czyni człowieka niezdolnym do zastępowania ludności w XX wieku, to p. Daszyński, jako szlachcic ze Zbaraża, i jego koledzy pp. Moraczewski, Barlicki, Niedziałkowski, baron Ziemięcki, baron Thugutt etc. powinni w te pędy składać mandaty poselskie. Wtenczas ja i moi koledzy Rymar, Matłosz, Sołtysiak, Sygietowicz, Wierczak, Marweg, Sawicki, Kaczmarek, ks. Matus itd. itd. nabywamy w myśl ideologji p. Daszyńskiego monopol na zastępowanie całej ludności, nawet tej, która jest zorganizowana w P. P. S. Jedni tylko żydzi mogliby spierać się z nami o podział tego monopolu. Tymczasem p. Daszyński zaliczył nas w czambuł do szlachty, chociaż nie posiada prawa do nobilitowania kogokolwiek.

We Wiedniu przed wojną, to jest „Anno dazumal" wzywał Niemców i rząd austrjacki do rozsądzenia sporu między nim, a resztą społeczeństwa polskiego. I dziś systemu nie zmienił. Obok „demokracji" hamburskiej sędziami, rozjem-

cami, no i pomocnikami w walce „demokracji" p. Daszyńskiego przeciw reakcji takiej szlachty jak my wyżej wymienieni i nasi bliżsi czy dalsi sojusznicy, mają być pp. Wasyńczuk, Taraszkiewicz i ich białoruscy czy ukraińscy zwolennicy. Dawno ci panowie ogłaszali, że ich polskie sprawy nic nie obchodzą, bo oni żądają plebiscytu, samostanowienia i oderwania się od Polski. P. Daszyński prosił ich o zmniejszenie żądań, o cierpliwość i o pomoc w swojej walce przeciw „reakcji" w imię wspólnoty „demokratycznej". Mimo, że w sposób syreni modulował swój głos, że używał wizystkich środków prośby, przekonywania i zastraszania, nie wsdać było, żeby ten apel robił jakiekolwiek wrażenie na adresaiąach. Zdawało mi się, że się przypatruję szekspirowskiej komedji „Stracone zachody miłosne". A Szekspir nie jest najnowożytniejszym autorem powojennym.

P. Daszyński grzmi na szlachtę, a stary szlachecki warchoł pieniacz, w retoryce u jezuitów wyćwiczony,tkwi w nim niepodzielnie. Od czasu rokoszów, przez wszystkie w ojny szwedzkie, tureckie, tatarskie, moskiewskie aż do ostatniej konfederacji, panowie szlachcice, pokłóceni z królem, sejmem, narodem, kościołem, uciekali się do obcych potencyj o pomoc, jako do rozjemców i sędziów w ich sporze z resztą Rzeczypospolitej. Nic się w uczuciach, metodach, a nawet w treści nie zmieniło. P. Daszyński powołuje się w tym apelu do obcych na demokrację swoją, tamci powoływali się na wspólnotę wolności religji, tolerancję czy obronę swobód, co prawda tylko szlacheckich, tak jak dziś tylko proletarjackich. Naprawdę nic się nie zmieniło prócz daty i nazwisk ludzi.

P. Daszyński podnosił w sposób wzniosły, chociaż chuda twarz jego nie umiała udać natchnienia, idealizm pacifizmu, wiarę socjalistyczną i wielką szlachetność dzisiejszego ruchu lewicowego. Za czasów Saint-Simona, Fourrier'a, a nawet Lasalle'a mogła to być prawda. Ale po zgłoszeniu się posła socjalistycznego Franka na ochotnika do zniszczenia Belgji w 1914 roku, po doświadczeniach z p. Hoersingiem na Górnym Śląsku, Belą Kuhnem na Węgrzech, bolszewikami w Rosji—po 6 listopada 1923 u nas w Krakowie, takie akcenty o wyższej, nadludzkiej sprawiedliwości, o urzeczywistnianiu haseł pokoju, prawdy, ewangielicznej dobroci itd, i to ze strony p. Daszyńskiego, który koniecznie chce wszystkich endeków powywieszać, jest dziwnie starą, spłowiałą, fałszywą nutą z tamtego świata. *Jan Zamorski.*

WYGRYZANIE.

(Dokończenie).

Jeszcze nie wszyscy czytelnicy „Myśli Narodowej" dostali ostatni zeszyt do ręki, a już lewica dostarczyła nowego dowodu na prawdziwość poczynionych przezemnie spostrzeżeń. Między innemi zauważyłem, że lewica zaczyna już teraz skrzętnie zbierać materjały, ażeby w stosownej chwili rozpocząć akcję przeciw Prezydentowi Rzeczypospolitej, wzorowaną

na akcji francuskiej lewicy przeciw p. Millerandowi. Ta uwaga była w rękach czytelników we czwartek dnia 12 czerwca, a już w piątek, jak gdyby chcąc zailustrować przewidzianą przezemnie taktykę, lewica postawiła w Sejmie wniosek o zmniejszenie uposażenia Prezydenta Rzeczypospolitej. Chodziło jej wyłącznie o zamanifestowanie swego niezadowolenia, o wyrażenie nieufności głowie Państwa. Wiadomo bowiem, że uposażenie naszego Prezydenta Rzeczypospolitej jest najskromniejsze w świecie i że na tym punkcie Skarb Państwa nie zrobi oszczędności. I wniosek socjalistyczny o skreślenie jednego złotego z dotacji Prezydenta nie próbował nawet nadać sobie pozorów akcji oszczędnościowej: chodziło wyłącznie o demonstrację.

W tym kierunku próbowali nasi czerwieńcy naśladować obyczaj angielski. Naturalnie na swój sposób. To też dżentelmeński obyczaj angielski nabrał u nas swoistej ordynarności. W Anglji używa się tego sposobu dla okazania swojego niezadowolenia odpowiedzialnemu ministrowi—nasi naśladowcy zastosowali go do nieodpowiedzialnej głowy Państwa. I w tem tkwi ogromna różnica między oryginałem a nieudolną kopją.

Wedle konstytucji Prezydent Państwa jest nieodpowiedzialny i za jego publiczne akta bierze odpowiedzialność rząd. Lewica nie znalazła żadnego aktu Prezydenta, któryby był niezgodnym z Konstytucją i dlatego nigdy nie interpelowała rządu za czyny p. Prezydenta. Widać stąd najdowodniej, że absolutnie nie odkryła żadnego uchybienia. Ale ponieważ francuska lewica burzyła się przeciw p. Millerandowi, nasi ekspozyci Hamburga musieli ją zmałpować. Być może, że jest to zapowiedź dalszej walki przeciw Prezydentowi, przygrywka do anarchistycznego naśladowania wzorów nadsekwańskich w nadwiślańskim stylu. A więc czekajmy, jaką formę przybierać będzie próba wygryzania Prezydenta Rzeczypospolitej przed upływem czasu jego urzędowania.

„Robotnik“ ogłosił, że z powodu przekroczenia granicy wieku trzej jenerałowie muszą przejść w tym roku na emeryturę. Są to pp. Latinik, Raszewski i Schubert. O jenerale Latiniku pisałem już, że ma urlop, z którego prawdopodobnie nie wróci. Przepowiednia sprawdza się prędzej, niż przypuszczałem. O ile rozumiem pragmatykę oficerską, można było tych jenerałów, naprawdę zawodowych, zatrzymać jeszcze w armji, awansując ich o jeden stopień, który przesuwa granicę wieku o 3 lub 4 lata. Przy ostatnim awansie nie uczyniono tego i przez to uzyskano prawne podstawy do pozbycia się ich. Wartoby przepatrzeć listę starszeństwa jenerałów i pułkowników w dojrzalszym wieku, a jeżeli ostatnio nie zostali awansowani, można z całem prawdopodobieństwem przypuszczać, że są przeznaczeni na wygryzienie, zgodne z ustawą.

Pisałem poprzednio, że po wygryzieniu pp. Wyganowskiego i Zamoyskiego z foteli ministerjalnych przyjdzie niechybnie kolej na następnych ministrów. Omyliłem się co do czasu. Lewica nie rozkłada tych wygryzań na raty, bo się jej

spieszy. Zaledwie mój artykuł dostał się do rąk czytelników warszawskich (na prowincję jeszcze nie doszedł), a już lewica w Sejmie postawiła żądanie usunięcia ministra Miklaszewskiego. Czem ten minister zasłużył na jej niełaskę, trudno się domyślić. Mianował p. Sempołowską i p. Makucha i wszystkie inne ozdoby sojało-bolszewji czy enkaenizmu, jakie mu zalecono a przecież od śmierci politycznej nie może się wykupić. Widocznie jakiś filar austrjacko-rosyjski niecierpliwi się w cieniu, więc trzeba dla niego na gwałt robić miejsce.

Zdaje się, że i p. Hübner, mimo swojego kultu dla p. Piłsudskiego, jest przez wygryzaczy zagrożony. Wyrażano mu wielkie niezadowolenie, ale głowy jego jeszcze nie żądano. Widocznie albo chce się na nim wymusić jakieś nominacje i usunięcia partyjne, albo też przeznacza się go do drugiej serji rugów ministerjalnych.

Wygryzacze nie lubią, żeby odkrywać ich karty. Wolą ciszę i tajemnicę. To też w pewnych kołach Ministerstwa Skarbu i lewicy spróbowano wytłómaczyć dyrektorowi departamentu p. Kauzikowi, że w ostatnim artykule rzuciłem się na jego cześć osobistą, że mianowicie zarzuciłem mu samolubne cele i nieszlachetne środki do osiągnięcia tych celów używane.

Gdybym był chciał dać coś podobnego do zrozumienia czytelnikowi, byłbym napisał, że prezesura P. K. O, „jest potrzebna p. Kauzikowi", a nie tak, jak napisałem, że „jest potrzebna dla p. Kauzika", naturalnie komuś trzeciemu. Jest to przecież system wygryzaczy. Obecnie naprzykład robiły się próby oddania wiceprezesury Rady Nadzorczej Banku Polskiego p. Młynarskiemu. Jeżeli ten zamiar odpowiada jego zamysłom, to można przypuszczać, że wie o tem — jeżeli zaś chcą go posłać gdzieindziej, aby go usunąć z zajmowanego stanowiska, to jest bardzo prawdopodobne, że dzieje się to całkiem za jego plecami i wbrew jego wiedzy i woli. Tak samo rozumiałem i o p. Kauziku. Nie miałem najmniejszych danych do przypuszczania, żeby w tej sprawie PKO występował w jakikolwiek czynny sposób, przeciwnie wydawało mi się, że jest tak związany z osobą premiera, iżby sam nie mógł starać się o usunięcie się od niego. Ale niemniej było już bardzo głośne, że prezesura PKO jest dla niego przeznaczona. Można prawie z całą pewnością przypuścić w tym wypadku, że wbrew jego woli. Dlatego napisałem, że nie on dla siebie tę rzecz przygotowuje, lecz inni dla niego.

Jest z tymi wygryzaczami sprawa trudna. Działają tak bezimiennie i tajnie (o ile nie przeniosą sprawy do rozpraw sejmowych), że żadnej ręki uchwycić nie można i żadnego adresu podać. Widzi się tylko nieoczekiwane wyniki tej pracy. Ale o jedno można tych panów prosić: Czytajcie tak jak napisano: dosłownie, gramatycznie, a nie ministerjalnie.

Jan Zamorski.

O POLITYKU POLSKIM, KTÓRY WIERZYŁ TYLKO NIEMCOM.

W „Gazecie Warszawskiej“ ukazuje się w dalszym ciągu historycznej doniosłości publikacja Romana Dmowskiego p. t. „Jak odbudowano Polskę?“ Każdy rozdział tego studjum historycznego, utrzymanego w wielkim stylu fejletonu publicystycznego, zawiera rewelacje zarówno w dziedzinie faktów, których się nie znało, jak i horyzoncie myśli, porywającej swą głębią, rozległością a zarazem niezwykłą przejrzystością. Nie znaliśmy dotąd Dmowskiego jako narratora, to bowiem co pisywał przedtem, sięgało w przyszłość, było konstruowaniem idej, dawanych społeczeństwu do wykonywania. Tutaj Dmowski opowiada, motywując pracę dokonaną dla Polski podczas wojny i kongresu. Obraz tych zmagań się polskiej siły twórczej z przeszkodami ma nieraz charakter wysoce dramatyczny, pomimo że autor niczemu się nie dziwi i pisze bardzo pogodnie. Czasami jednak opowiadanie iskrzy się od humoru, tak zabawne były fakty same, gdy twórca tej miary stykał się z przeciwdziałaniem ludzi małych, pragnących robić na Polsce karjerę, choćby kosztem Polski, aby tylko przeciwdziałać Dmowskiemu.

Ludzie ci widzieli swoją rolę po stronie państw centralnych. W jednym z ostatnich zeszytów „Myśli Narodowej“ przytaczaliśmy opinję Dmowskiego o p. Szymonie Askenazym obecnie przytaczamy ustęp, odnoszący się do innych polityków z obozu t. zw. aktywistycznego:

„Przy poznaniu się z przedstawicielem „aktywistów” w Londynie — pisze Dmowski — powiedziałem mu z góry, że idąc innemi niż on drogami, nie będę jednak osobiście przeciw niemu występował, nie będę starał się go w Anglji dyskredytować, uważając, że taka walka między Polakami na obcym gruncie może sprawie polskiej zaszkodzić. Naturalnie, dodałem, że oczekuję od niego tego samego. Niestety, rychło się przekonałem, że mu nie trafiło do przekonania to com powiedział, że uważał za właściwsze kierować przeciw mnie napaści w pisemkach i intrygi za plecami.

Innemu, spotkanemu w Szwajcarji — choć z przeszłości mało miałem powodów do zbliżania się — wyłożyłem szczerze, do czego dążymy. On się nadął, owinął się togą nieskalanego patrjotyzmu i wygłosił:

— Ja panu nie wierzę!

Trzeba było doprawdy świętej cierpliwości, żeby chcieć rozmawiać z takimi dorosłymi smarkaczami.

Był to jeden z produktów owej t. zw. „Warszawki” z przed czasów wojny japońskiej i kryzysu rosyjskiego, owej niby intelektualnej sfery, która odcięta od szerszego życia, w cieniu policyjnego dozoru i cenzury rosyjskiej nie dojrzewała, wydawała dzieci pozujące na uczonych, statystów, wielkich obywateli i t. p. On widział siebie w lustrze w tej godnej pozie: Ja panu nie wierzę...

On wierzył Prusakom. Później musiał po wagonach łapać odwracających się do niego plecami dyplomatów niemieckich, gdy jechali do Brześcia Litewskiego robić pokój z pozostawieniem za drzwiami polskich „sojuszników“.

Najgłośniejszym przedstawicielem aktywizmu w Londynie, pozostającym w kontakcie z obozem p. Lednickiego

w Rosji był wówczas p. August Zaleski, obecnie poseł polski przy Kwirynale.

Co do owego Katona aktywistycznego, osłaniającego togę nieskalanego patrjotyzmu swą niedojrzałość polityczną, sylwetka pasuje doskonale do postaci p. Jana Kucharzewskiego, b. premjera pierwszego rządu „królewsko-polskiego“ z ramienia Rady Regencyjnej. Trudno oprzeć się przypuszczeniu, że o niego tu właśnie chodzi. W r. 1917 po traktacie niemiecko-bolszewicko-ukraińskim w Brześciu Lit. głośne było niepozbawione cech tragiczno-humorystycznych spotkanie ówczesnego premjera J. Kucharzewskiego z ministrem spraw zagranicznych Rzeszy Niemieckiej p. Kühlmannem, bawiącym przejazdem z Brześcia do Berlina w Warszawie.

Nie trzeba chyba przypominać ogólnego porywu patrjotycznego oburzenia w Polsce z powodu tego traktatu, oddającego odwieczne polskie ziemie Ukrainie. Moment był groźny dla całej polityki porozumienia z Niemcami i rzeczywiście wywołał katastrofę kompromitacji polityków w rodzaju J. Kucharzewskiego. W takiej chwili dla królewsko-polskiego rządu i dla rządu Rzeszy powinno być chyba rzeczą niesłychanej wagi osiągnięcie jakiegoś porozumienia, jakiejś wspólnej linji postępowania, jeżeli nie miało nastąpić natychmiastowe zerwanie. Jednak Niemcy doskonale widać zdawali sobie sprawę z istotnego znaczenia rządu „królewsko-polskiego“, będącego wówczas jedynie bezduszną w ich rękach marjonetką, nie reprezentującego prócz siebie nikogo, bowiem gdy p. Kucharzewski, jako premjer, pospieszył na stację by schwytać przejeżdżającego Kühlmanna, ten wymówił się brakiem czasu i premjera polskiego wcale nie przyjął.

Jak fama głosi, p. Kucharzewski nie zraził się tym podobno, czekał do chwili odejścia pociągu, a następnie jechał w tym pociągu na lokomotywie, wyczekując, aż niemiecki dyplomata znajdzie dla niego chwilę wolną. Nie wiadomo ostatecznie, czy p. Kucharzewski dotarł wreszcie do Kühlmanna, sam ten fakt jednak stanowi charakterystyczny przyczynek do historji martyrologji honoru narodowego i ambicji polityków aktywistycznych w okresie wielkiej wojny.

O poziomie myśli politycznej tego samego „męża stanu" świadczy także fakt, przypomniany, już swego czasu przez „Myśl Narodową" w numerze 6-ym z dn. 9 lutego 1924 r. w artykule p. t. „Jak to p. Jan Kucharzewski nie chciał Prusakom dać Łomży“.

Głośny już skądinąd w społeczeństwie polskiem (proces Lednickiego) hr. Lerchenfeld tak wówczas pisał w raporcie do ces. niemieckiego rządu:

Dzisiaj bawił u mnie Kucharzewski ...swoje zapatrywanie na na rozwiązanie sprawy polskiej wyraził w sposób następujący:

...Austropolskie rozwiązanie odpowiada również interesom niemieckim o tyle, o ile silna Austrja stanowi dla państwa niemieckiego gwarancję przyszłego rozwoju (Środkowa Europa).

Rozwiązanie niepodległościowe w tym sensie, jak je obecnie Niemcy proponują dałoby się również użyć, ale przedewszystkiem nie mogę się zgodzić na odstąpienie Łomży — i abstrachując od tego, że jest to rodzinne moje miasto, uważam tego rodzaju odstąpienie za niepotrzebne i mam nadzieję, że rząd niemiecki oestąpi od tego żądania. W oczach moich rozwiązanie niepodległościowe ma przewagę nad austro-polskiem, przyjmując, że odpowiednie umowy zagwarantują integralność Galicji.

Tacy politycy nie wierzyli Romanowi Dmowskiemu...

(w.)

DWIE DOBY Z ŻYCIA p. KLEMENSIEWICZA.
(Kraków 6.XI 1923 — BOLESŁAW 2.II 1915)

Poseł Klemensiewicz (P. P. S.) jest wraz ze swym kolegą parlamentarnym posłem Stańczykiem jednym z głównych oskarżonych w procesie o morderstwo ułanów ks. Józefa dn. 6 listopada w Krakowie. Grozi mu wieloletnie ciężkie więzienie, więc tłumaczy się jak może. Że wypadki go zaskoczyły, że był tylko medjatorem, aniołem pokoju, zgody, porozumienia, którego w chwilach najgorętszych nie było nawet wcale na polu walki.

Nie od rzeczy będzie z tej okazji przypomnieć, że pos. Klemensiewicz ma w życiu za sobą fakt, dowodzący zupełnego braku skrupułów moralnych, gdy chodzi o poświęcenie życia rodaków i to wtedy nawet gdy wchodzi w grę morderstwo bezbronnej ludności polskiej — proletarjatu, nie znienawidzonej „reakcyjnej“ policji lub „burżuazyjnej“ armji. Oto w lutym 1915 porucznik I-ej brygady, Zygmunt Klemensiewicz postanowił siłą werbować włościan do Legjonów. W tym celu wezwał włościan okolicznych na dzień 2 lutego 1915 r. do Bolesławia i otoczywszy ich wojskiem, oświadczył im, że są wcieleni do Legjonów. Widząc mężów swych i braci branych przemocą, kobiety podniosły tumult. Por. Klemensiewicz nakazał wtedy dać do tłumu salwę ostremi ładunkami, wskutek czego sześć osób padło trupem, a dwadzieścia odniosło rany. *)

W obydwu wypadkach i w Krakowie i w Bolesławiu p. Klemensiewicz był po stronie morderców, w obydwu wypadkach zajmował stanowisko rozkazodawcy.

KATASTROFA LOTNIKA KAHANEGO.

Alarm podniesiony przez nasze pismo w № 21-ym z powodu objęcia redakcji półurzędowego pisma lotniczo-wojskowego p. t. „Orle Loty“ przez żyda Maksa Kahanego, odniósł swój skutek. Zareagowano z kilku stron. Pisaliśmy o Kahanie w końcu maja a już 2-go czerwca ukazała się w „Polsce Zbrojnej“ następująca notatka:

---

*) Przebieg wydarzenia opisany według książki „Józef Piłsudski“ przez K. Lubicza r. 1922.

Zarząd główny Ligi Obrony Pow. Państwa zawiadamia swoje komitety i koła członków Ligi i jej sympatyków, że czasopismo „Orle Loty”, redagowane przez p. Kahana, nie jest organem Ligi Obrony Powietrznej Państwa i w żadnym stosunku z jej organizacjami nie stoi. Jednocześnie zarząd wzywa do przyjmowania z całą ostrożnością wszelkich wiadomości, pomieszczanych w „Orlich Lotach”, ze względu na tendencyjnie błędne informacje o pracach Ligi Obrony Powietrznej Państwa.

Z drugiej strony dowiaduje się „Polska Zbrojna”, że „Orle Loty” z pod kierownictwa wojsk. komisarza lotnictwa przy Sztabie Gen. przeszły na wydawnictwo prywatne.

Tego samego dnia otrzymaliśmy też bardzo ciekawy list do redakcji, niepomieszczany dotychczas z powodu braku miejsca, a charakteryzujący instynkty i poloty młodzieńcze lotnika Kahanego.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z artykułem p. t. „Orle loty Maxa Kahanego”, zamieszczonym w Nr 21 „Myśli Narodowej” z dnia 24 maja 1924 r., komunikuję Panu co następuje:

M. Kahan uczęszczał do 7-klasowej Szkoły Handlowej Zgrom. Kupców m. Warszawy. Ponieważ odsetek żydów w tej szkole był znaczny, istniały tarcia między Polakami i żydami W czwartej czy piątej klasie (rok 1912 — 13) jeden z nauczycieli nieopatrznie, jakkolwiek w najlepszej intencji, poruszył sprawę tych tarć na lekcji. Skorzystał z tego Kahan i w sposób arogancki począł napadać na Polaków. W zakończeniu użył zwrotu, iż: „Polacy są również lokatorami na własnej ziemi”. Oburzenie było tak żywiołowe, iż jeden z kolegów (ś. p. Jan Caspaeri, ułan szwadronu Beliny-Prażmowskiego — poległ w 1916 r.) zerwał się i spoliczkował Kahana w obecności nauczyciela! Fakt w dziejach szkoły nienotowany! W kilka dni potem Kahan powtórnie został obity, tym razem przez Wacka Zawadzkiego (ś. p. podporucznik Wacław Zawadzki, zamordowany przez Litwinów w Sejnach w 1919 r.). Całkowicie izolowany i zbojkotowany Kahan był zmuszony przenieść się do równoległego oddziału.

Wiarogodność powyższego potwierdzić może kolega szkolny inż.-architekt Zygmunt Lipski, Bagatela 12a — 36. W razie potrzeby podać mogę nazwiska i adresy innych kolegów, którzy byli obecni przy zajściu.

Szef sztabu generalnego, w piśmie polecającym „Orle Loty” do czytania oficerom wszystkich broni, sferom przemysłowym i sportowym, pisze: „W pierwszych latach powstania lotnictwa nie byliśmy jeszcze gospodarzami na własnej ziemi”... Jest w tych słowsch bolesna, acz bezwiedna ironja. Kto jest „gospodarzem” urzędowego czy półurzędowego pisma lotnictwa polskiego? Polacy, że użyję słów ucznia— Kahana, są tam tylko „lokatorami”.

Ś. p. podporucznik Wacław Zawadzki i ułan ś. p. Jan Caspaeri giną w walkach o niepodległość Polski. W niepodległej Polsce student czy eks-student, Maksymiljan Kahan, ma pouczać i wychowywać oficerów typu Caspaerich i Zawadzkich!

Racz przyjąć Panie Redaktorze i t. d.

Bonifacy Pałasiński,

Warszawa, 2.VI—24 r. Marszałkowska 25—41.

W ten sposób lotnik Kahane spadł z podniebnych sfer marzenia o karjerze na stanowisko redaktora naczelnego półurzędowego pisma lotniczo-wojskowego na grunt polskiej rze-

czywistości, która nie dojrzała jeszcze do takich anomalij, jak ten redaktor. Nie pomogła benedykcja szefa sztabu, bluff się nie udał; warto jednak go zapamiętać, jako charakterystyczny przykład żydowskiej bezczelności i blagi.

(s.)

WASSERZUG I HANDELSMANN.

Jak Wasserzug[1]) chwalił podczas okupacji pruskiej w „Głosie Stolicy" p. Handelsmanna za tegoż pamflet na Anglję pt.: „Anglja i Polska" 1916.

Świeżo wydana praca prof. Marcelego Hendelsmana p. t. „Anglja-Polska" (1814 — 1864) przynosi dużo materjału, nad którym czytelnik polski powinien się dobrze zastanowić. Czy to tak trudno przeczytać dobrą, pouczającą książkę? A ta właśnie książka rzuca prawdziwy snop światła na wiele naszych dzisiejszych wątpliwości, mimo, że dotyczy spraw z przed stu laty. Niektóre z tych spraw mają bowiem wybitne, uderzające cechy... aktualności.

— — — — — — — — — — — — — —

Ks. Adam Czartoryski rozpoczął rokowania z Anglją w 1813 roku i sądził, że po upadku Napoleona „pocznie się nowa epoka dla ludzkości, rządy sprawiedliwości, wielkich liberalnych idej, szlachetnych i dobroczynnych uczuć. W odpowiedzi ks. Czartoryskiemu, imieniem angielskiego rządu, pisał gen. Wilson: „Teraz, kiedy o niczem nie mówimy, o niczem nie myślimy, tylko o uwolnieniu od jarzma obcego, czyliż podobna, aby kraj, którego samoistność uznała Europa, przy pokoju, w którym zasady powrotu samoistności narodów uznane zostały, was miano, od tego ogólnego prawidła odsunąć". I dalej daje taką wskazówkę: „Z nikim nie traktujcie, nic nie róbcie, będą żądali od was adresów, oznak zaufania. Teraz więc odegrajcie rolę bierną, a kiedy czas przyjdzie, życzcie tego, czego życzyć wam należy: niepodległości".

Już widzę, jak nasi neutraliści, czytając te cytatę z przed stu laty, zacierają ręce! Powoli! Oto—imieniem tego samego rządu angielskiego, lecz już po kampanji jesiennej r. 1813-go, pisze do ks. Czartoryskiego kierownik angielskich spraw zagranicznych Castlereagh: „Nie można przypuścić, aby jakiekolwiek państwo rozbiorowe zgodziło się na wydanie prowincyj, które zabrało Polsce. Niepodobna odbudować Polski za pomocą rokowań, jedynym środkiem do tego prowadzącym jest miecz. Gdyby Polacy powstali z bronią w ręku, Anglja w innych warunkach mogłaby im dać skuteczną pomoc. Z powodu jednak świeżych doświadczeń, nie jestem skłonny życzyć sobie czegoś podobnego, skoro rezultat nie byłby wart nawet rozlewu krwi i materjalnej ruiny, jakąby taka walka za

---

[1]) Obecnie Wąsowski Józef, kronikarz „Kurjera Polskiego".

sobą pociągnęła. Polacy winni poddać się Rosji i zabiegać o jej łaski".

Sto lat temu. A dziś? „Nawet w chwili wielkiego wszechświatowego zatargu — pisze prof. Handelsman — nie zboczy Anglja z wytkniętej drogi. I choć Polska leży na wielkim szlaku wydarzeń dziejowych, pozostawi ją w sferze wpływów rosyjskich, wewnętrznem zagadnieniem — imperjum carów". Ba! Gdybyśmy łepiej znali historję!..."

Ba!

Gdybyśmy was lepiej znali Żydy! Handelsmany, Askenaze! Wasserzugi!

A. MICKIEWICZ O UCZONYCH CZESKICH.

(Czwarta lekcja kursu literatur słowiańskich w Collége de Franse).

„Les savants de la Bohéme, ces savants, depuis longtemps éloignés des affaires politiques, ayent reconnus la stérilité des lutets théologiques, se sont repiés sur eux-mémes ils ont commence à étudier le passé politique et littéraire. Cest là qu'ils cherchent le lien capable de réunir tous les Slaves en une seule comunauté; cette étude du passé, il faut le reconnaitre, ils ont entreprise avec un entousiasme tout religieux. Les savants bohémes ne ressemblent pas aux antiquaires des autres pays; ils sont, pour ainsi dire, les apotres de la nationalité; ils travailent comme les moines de Saint-Benoit, de Saint-Marc, et se résignent souvent aux mémes privations, aux mémes miséres. Il y a de la poésie dans leurs recherches... un esprit à la fois curieux et poétique anime leurs entreprises".

SPORT I POLITYKA CZYLI „KRAKAUER KICKERS".

Polski Związek Piłki Nożnej z siedzibą w Krakowie duża instytucja sportowa w kraju, bawi się w politykęi zamiast poświęcać swoją uwagę i energję sprawie organizacjsportu piłki nożnej w Polsce. Oczywiście, polityka tych pa, nów jest niedorzeczna,. ale zato echt krakauerska. Wierni wyznawcy „Mitteleuropy" zwracaią ustawicznie tęskny wzrok w stronę Berlina, Wiednia i Budapesztu, nie lubią natomiast Paryża, a już wprost chorobliwie nienawidzą Pragi... Zatarg o Jaworzynę dał im pożądany pretekst, aby ogłosić bojkot sportowy Czechów i oto od 2 lat zerwane są stosunki pomiędzy sportem polskim a czeskim, stojącym jak wiadomo, na pierwszorzędnym poziomie...

Gdyby jeszcze drażliwość tych panów na punkcie politycznym była szczera i uczciwa, moglibyśmy przejść nad tym

faktem do porządku dziennego. Atoli skrupuły polityczne nie przeszkadzają krakowskim matadorom sportowym sprowadzać do Polski drużyn niemieckich (Schoeneberger Kickers i t. d.) pomimo, że antagonizm polsko-niemiecki jest chyba poważniejszy i dawniejszy, niż chwilowe nieporozumienie polsko-czeskie...

Jeszcze większem zaślepieniem P. Z. P. N. jest tolerowanie meczów polsko-żydowskich, które podsycają nastroje przeciwpolskie nerwowego i skrajnie nacjonalistycznego tłumu żydowskiego. Pożytek sportowy tych spotkań jest żaden, bo zwycięstwo nad drużyną żydowską nie jest chyba zaszczytne, a natomiast każde niepowodzenie kompromituje nas i budzi żywiołowy wybuch radości tłuszczy żydowskiej. Jak wyglądają takie mecze, świadczy bodaj niedawne zajście we Lwowie, gdzie zdarzył się fakt pobicia przez żydowską publiczność polskiego gracza Reymana II z krakowskiej „Wisły".

Czas już zrobić porządek z krakauerską polityką w sporcie polskim. Niedołężny i politycznie zaślepiony zarząd krakowski P. Z. P. N. powinien ustąpić, zwłaszcza po głośnej kompromitacji w Stokholmie i w Paryżu. Polski Związek Piłki Nożnej należy przenieść do Warszawy, gdzie będzie wolny od wpływów krakauerskich. Nowy Zarząd powinien przerwać niedorzeczny bojkot Czechów, a natomiast zaniechać umizgów do berlińskich „Kickersów" dopóki nie ustaną w Niemczech zaciekłe szczucia przeciwpolskie. A przedewszystkiem, powinien zabronić klubom polskim rozgrywania meczów z nacjonalistycznemi klubami żydowskiemi, nie czekając, aż pewnego dnia wybuchnie na boisku gromadna walka, której oczywiście nasi najserdeczniejsi nadadzą skandaliczny rozgłos.

(l. b.)

JAK TAM NA ŁOTWIE SENATORZE RINGEL?

(Nasz Przegląd z 18 Maja z Niedzieli.)

Antysemityzm zajmuje *bardzo wybitne miejsce* w życiu społecznem Łotwy. Z dawnej przemysłowej Łotwy nie pozostało nic — obecnie Łotwa jest krajem par excellence agrarnym. Panujący związek chłopów wytęża wszystkie siły, aby nie dopuścić do rozwoju przemysłowego Łotwy. Cały przemysł polega na kilku fabrykach w Rydze i Libawie, które przeżywają nieustannie kryzys z powodu braku rynków zbytu. „Przemysł ten znajduje się przeważnie w rękach łotewskich, natomiast rzemiosła i *handel — wyłącznie w rękach żydowskich.* W tem właśnie tkwi najważniejsze źródło antysemityzmu — czysto ekonomicznego...

Młoda burżuazja łotewska jest wcale dobrą organizatorką. W krótkim terminie udało jej się stworzyć dobrą machinę państwową z armją, ochraną policyjną i innemi instytucjami szczerej demokracji (sic!). *Zorganizowała również doskonale kampanję antysemicką,* która uprawiana jest, naturalnie pod pła-

szczykiem nacjonalistycznym. Nacjonaliści łotewscy ratują kulturę narodową od „międzynarodowych“ żydów. Kieruje tą akcją „łotewski klub narodowy“ — *organizacja czysto faszystowska.*

Działalność klubu dzieli się na legalną i nielegalną. Do działalności legalnej należą: demonstracje antyżydowskie (za zgodą i poparciem władz); odezwy do wszystkich „narodowo-uświadomionych“ łotyszów, *nawołujące ich do niekupowania towarów u żydów*; rozdawanie list wszystkich kupców i rzemieślników łotewskich, u których łotysze mogą kupować...

Działalność nielegalna nazywa się w języku policyjnym „czynami nieznanych młodzieńców“.

„Nieznani“, a właściwie dobrze znani wszystkim młodzieńcy pozwalają *sobie na rzeczy wołające o pomstę do nieba* — są bowiem pewni, że *nie spotka* ich zasłużona kara. W dodatku są oni często bardzo „oryginalni“. Gdy naprzykrzy im się co wieczór bić żydów i ciągnąć do komisarjatów pod pretekstem, że wygwizdali łotewski hymn narodowy — wówczas przystępują do bardziej „solidnych“ przedsięwzięć. Idą do rosyjskiego teatru, przecinają drut elektryczny, a gdy w teatrze robi się ciemno — *zaczynają strzelać i rzucać cuchnące bomby.* W rezultacie — wielu rannych, *zemdlałe kobiety i skaleczone dzieci* (zawsze skaleczone „dzieci“... w teatrze. P. R.). Gazety tłumaczą całe zajście ogromnem oburzeniem, jakie panuje wśród łotewskiej młodzieży „narodowo-uświadomionej“ z tego powodu, że w łotewskim teatrze *grają rosyjscy artyści dla „żydowskiej“ publiczności.* (Tout comme chez nous. P. R.).

Działalność antysemicka faszystów łotewskich zatacza z dnia na dzień coraz szersze kręgi. Nawet w stołecznem mieście *Rydze żydzi wieczorami nie spacerują* — nie chcąc narażać swego życia na niebezpieczeństwo.

Szczególnie jednak zatrważający jest antysemityzm w armji.

We wszystkich szkołach i organizacjach skautowych uprawiana jest najwstrętniejsza heca antysemicka pod hasłem: „śmierć żydom i komunistom”!

Charakterystyczne jednak, że nawet es-decy nie są wolni od antysemityzmu.

Znany profesor Bolad (Atlanticus), autor znanego dzieła p. t. „Państwo przyszłości“, który jest *socjalnym demokratą ogłosił niedawno artykuł, w którym zalecał wprowadzenie monopolu państwowego w całym szeregu gałęzi gospodarczych nie dla walki z burżuazją, lecz — z konkurencją żydowską.*

Z LWOWSKIEGO PARNASU.

Osoba prof. d-ra Jakóba Parnasa wypłynęła w Polsce dzięki genjalnej intuicji i spostrzegawczości generała von Beselera, który odkrył wielkiego uczonego na skromnem stanowisku asystenta w pruskim Strassburgu i sprowadził na katedrę w uniwersytecie warszawskim. Ale wybijający się uczony nie miał szczęścia na reakcyjnym bruku stolicy. Zarzucano mu żydofilstwo, chociaż pan Jakób naprawdę był chrzczony już przed kilku laty w katedrze św. Jana w Warszawie i cho-

ciaż starał się (coprawda bez skutku) być delegatem na zjazd katolicki w Bydgoszczy. Z kolei wystąpił niejaki pan dr. Przyłęcki z przykrymi zarzutami w sprawie autorstwa prac naukowych, tak, że ostatecznie pan Jakób czuł się zmuszony opuścić niewdzięczną Warszawę.

Poznał się na uczonym i ze staropolską gościnnością otworzył mu wrota kresowy Lwów, powierzając mu katedrę chemji lekarskiej opróżnioną po znakomitym profesorze Bądzyńskim. Intronizacja odbyła się przy znacznym huczku trąb jerychońskich i anonymowych. Obecny uczony począł się umacniać w siodle. Przedewszystkiem odkrył niepospolite zdolności chemiczne u pana Józefa Hellera, żydka kończącego medycynę i u p. Możołowskiego również medyka, typowego socjal-belwederka. Uczynił tedy obu tych mężów asystentami w swym instytucie i wpłynął swym przykładem na pana Hellera, iż tenże przyjął chrześcijaństwo. Równoczesnie rozwinął pan Jakób działalność naukową. Praktyczny pan Jakób już wyrabia „polską“ insulinę i za niesłychane sumy udziela jej biednym cierpiącym. Prawdopodobnie przemysł ten kwitnie zdala, bez udziału instytutowych, t. j. rządowych przyrządów i odczynników. Niepomyślnie skończyły się zabiegi p. Jakóba o zdobycie odpowiedniego stanowiska w T-wie przyrodników im. Kopernika, mimo, iż niejaki p. dr. Słonimski (który już także jest ochrzczony) nie mało w tym celu zużył wymowy i potu.

Na medycynie grunt pana Jakóba jest już zupełnie urobiony. Wprawdzie trochę niezręcznie prowadzona akcja masowego sprowadzania wybitnych uczonych na lwowskie katedry, jak Fausta, Hirschelda, Zweigbauma, Funka i innych Rothfeldów lub Allerhandów musiała po zdemaskowaniu w prasie przycichnąć. Natomiast uzyskano sukcesy na innem polu. Przedewszystkiem pracownie profesora Parnasa zaludniły się. W ciągu krótkiego czasu przewinęli się tu pracownicy o obiecujących nazwiskach: Dr. fil. Heschelesówna, Kriesówna, Zuckerówna, Dr. fil. Schütz, Dr. med. Frostig, Better, Helerówna, Ziemels-Ziemilski, Mund-Mierzecki, Kalwaryjski (już ochrzczony) i w. i.

Podobnie jak we własnej pracowni, świetne wyniki przyniosła też inicjatywa pana Jakóba w Polskiej Gazecie lekarskiej, jako członka komitetu redakcyjnego. Oto kilka nazwisk współpracowników, których zdołał ów mąż wybitny zebrać pod swym sztandarem: Allerhand, Ziemilski (Ziemels) Tenenbaum, Amelsonówna, Goldberg, Eisenfarb, Landsberger, Rosenfeld i t. p.

Ale koroną sukcesów pana Jakóba — to sprawa słynnego funduszu Rockefellera we Lwowie. Niewiadomym sposobem zostali mianowani zawiadowcami funduszów przeznaczonych przez wielkodusznego Amerykanina dla lwowskiego wydziału lekarskiego—Prof. Gröer i prof. Parnas; prawdziwa praca spoczywa na wydatnych barkach pana Jakóba. A zawiadywanie przez cały rok kwotą 10 tysięcy dolarów, to przecież chyba jest całkiem poważny interes. To też nic dziwnego, że pan Jakób musiał w tych sprawach wyjeżdżać do Berlina, Wenecji, czy Wiednia. Przytem jakaż moralna satysfakcja. Co ranka, deszcz czy pogoda, wiosna, jesień, czy zima mkną dostojne profesory uniwersytetu do pana Jakóba. Każdy prosi, ten o instrumencik, ten o książkę czy odczynniki. Rośnie stąd znaczenie, skarbi się obfita wdzięczność u kolegów, po której odsetki nie zapomni pan Jakób zgłosić się we właściwym czasie i w odpowiedniej formie. Dostali tedy dotacje obfite ludzie pewni, dalej ci, którzy mają znaczenie, wreszcie ci, których można zjednać. Nic, lub tyle co nic, otrzymali nieliczni w wydziale „żydożercy“.

Sprawa dotacyj przeszła jednak gładko, dopiero na stypendjach, które również fundacja Rockefellera nadaje, doszło znowu do małego załamania się z powodu zbytniej niestety, a tak właściwej rasie pana Jakóba pochopności. Stypendja Rockefellera zagraniczne i miejscowe przeznaczone są dla młodych badaczy, którzy zamierzają poświęcić się karjerze naukowej. Fama głosi, że w roku bieżącym wyjadą zagranicę wspomniani już panowie Dr. Kalwaryjski: Dr. Heller, Dr. Fritz.

asystent prof. Gröera, czynny członek sławnego „Ostmarkenvereinu”. Dwaj pierwsi panowie nie posiadają jeszcze wcale dorobku naukowego, a plony na niwie medycznej D-ra Fritza są nikłe. Zasiłki miejscowe udzielono w roku 1923 poznanym już Dr. Kalwaryjskiemu i Dr. Możołowskiemu. Sposób nadania tych stypendjów był bardzo tajemniczy. Rada Wydziału Lekarskiego, o którego asystentów tutaj przecież chodziło, nie tylko nie była pytana o zdanie, ale nawet nie raczył pan Jakób zawiadomić swej Rady Wydziałowej o powziętych postanowieniach. Ta typowa żydowska impertynencja, ten jaskrawy rząd w rządzie przekroczyły wreszcie niezmierną cierpliwość Wydziału. Oddźwięk zbudził się, nabiera mocy i zaczyna już wydawać owoce.

Być może, że niewiadomo do jakich to tajnych celów używa się fundacji wielkiego Amerykanina. Ale wiadomo dokładnie, jakie obowiązki obywatelskie ciążą na profesorze polskiego uniwersytetu, opłacanego przez polski rząd polskiemi pieniędzmi, a o tem zdaje się znów pochopny pan Jakób zapomina. Tak przynajmniej trzeba wnioskować z jego dotychczasowej działalności.

(*x*)

JERZY VALOIS O DEMOKRACJI,

1. Demokracja prowadzi do anarchji intelektualnej i moralnej.

(L'Homme qui vient, Rozdział XXXVIII)
tłomaczył Leszek Gębarzewski.

Wszystko w demokracji sprzyja dezorganizacji. Nawet siły literackie, które w Monarchji pracują nad wzmocnieniem więzów narodowych, wyrażają uczucia narodowe i utwierdzają dla przyszłych pokoleń tradycję duszy narodowej pozwalając w ten sposób narodowi znaleźć swe drogi w czasie jego bytowania, — nawet te siły poddają się rozprzężeniu grupy...

...I podczas gdy służąc władzy królewskiej, która od nich wymaga wyrażania uczuć pożytecznych dla pokoju i pracy, służą wzrostowi narodowemu, — to służąc potężnym przedsiębiorcom, lub masom ludowym, przyczyniają się do rozprzężenia. Ponieważ mają poparcie króla jedynie w razie gdy zachęcają naród do jaknajwiększego wysiłku nie mogą jednak przypodobać się możnym inaczej, jak usprawiedliwiając dla nich zużycie bogactw na przyjemności, a ludowi — przedstawiając, iż życie jest możliwe z najmniejszym wysiłkiem i najmniejszym przymusem.

W narodzie dobrze zorganizowanym, gdzie wszystkie spojrzenia skierowane są ku królowi, który przedstawia najwyższy interes narodowy, pisarze znajdują powodzenie, to znaczy większą popularność dzięki aprobacie królewskiej, która uświęca ich doskonałość, ich użyteczność w oczach tłumu. W demokracji, gdzie żaden głos nie jest dostatecznie upoważniony, aby mówić w imieniu interesu narodowego, gdzie każdy sądzi według swego interesu osobistego, pisarze znajdują powodzenie dzięki aprobacie jaknajwiększej liczby interesów osobistych; starają się przypodobać im bezpośrednio, nie przechodząc przez probierz królewski, nie będąc ocenieni według miary interesu kolektywnego. Stąd zaś pochodzi, że podnoszą to co najwięcej ludzi, interes osobisty, to znaczy zmniejszenie się wysiłku i zniesienie przymusów, które interes osobisty uważa za przeszkody dla swej energji, a które w rzeczywistości są łańcuchami, krępującymi zwierzę uwięzione w człowieku.

Sztuka przestaje być reprezentacją energji i walk energji i staje się wyłącznie przedstawicielką użycia i środków użycia, i dąży do pokazywania w życiu tylko przyjemności, którą ogłoszą nawet celem egzystencji. Pisarze pod naciskiem demokracji stają się wspólnikami demagogów; atakują wszystko co staje na zawadzie przyjemności: wię-

zom religijnym, więzom narodowym, więzom społecznym, więzom rodzinnym, wszystko co zostało ustanowione, aby zmusić człowieka do zachowania energji jest dezorganizowane przez ich intelektualną akcję...

. . . .

Anarchja jest wówczas w umysłach, bo wszystkie siły literackie przywoływane we wszystkich, najprzeróżniejszych, kierunkach: ludzi możnych, miernych, słabych i jednostek usuniętych z życia publicznego, rozpraszają się i tracą między sobą związek. Literatura jest wówczas chaosem sentymentów, aspiracyj i sprzecznych idei, w którym jednostka nie może już odkryć linji kierowniczej wysiłku społecznego i który ją karmi jedynie sceptyzmem i pesymizmem, wstrzymując w ten sposób wybuch jej energji.

2. Demokracja jest poprostu negacją narodu.

Wszelkiemi więc drogami doktryna demokratyczna i jej zastosowania osłabiają naród. Zresztą doktryna demokratyczna musi doprowadzić do zniknięcia narodu, bo mieści w sobie jego negację. Aby lud zgodził się na zniweczenie przez nich władzy królewskiej, możni byli zmuszeni proklamować dogmat wolności i twierdzić, że wszystkie instytucje społeczne są rezultatem wolnego związka jednostek, że nawet życie społeczne istnieje jedynie dzięki „kontraktowi społecznemu" zawartemu przez jednostki między sobą. W ten sposób przygotowali negację narodu. Łogika demokratyczna prowadzi nieuchronnie jednostkę znużoną wysiłkiem, który na nią nakłada życie narodowe, do złamania tej umowy i stwierdzenia prawa do jej złamania.

Naród demokratyczny jest w istocie bezbronny wobec tej jednostki, która chce go przywrócić do zwierzęcości, do dawnego stanu niezorganizowanej ludzkości, w którym indywiduum nie zna innego prawa prócz własnego i innej wojny słusznej, jak ta, którą przedsiębierze na własny rachunek. I wszystkie jednostki, które w narodzie nic nie posiadają, które nie czują wcale zdolności do wysiłku przedsiębiorczego, koniecznego do podniesienia się przez pracę w pokoju i które chcą używać bogactw, nagromadzonych przez przemysł, łamią ową mniemaną umowę i, silne tą wolnością, którą im przyznaje doktryna demokratyczna, powracają do wolności wobec narodu i odnawiają przygotowania innej wojny, jak wojna domowa.

Tak więc pierwsze oszustwo ze strony możnych zwraca się przeciw nim i za to, że dali przykład niekarności wobec króla, możni są zagrożeni niekarnością ludu. Lecz z nimi jest również zagrożony naród i jego dzieło pokoju i cywilizacji.

Wojna domowa, przedsięwzięta przez tych, którzy się odrywają od narodu, wszystko to zmiecie. O ile wojna międzynarodowa podnosi cywilizację, ponieważ rozszerza pokój i daje zwycięstwo narodowi najlepiej zorganizowanemu do pracy i zużytkowania ziemi, o tyle wojna domowa jest zniszczeniem cywilizacj, bo ogranicza pokój do małych grup i tworzy ryzyko, że zwycięstwo przypadnie jedynie tym, którzy są zorganizowani dla rabunku.

To osiąga demokracja, a po tem jest już miejsce tylko dla najazdu cudzoziemskiego lub długiej i bolesnej odbudowy pod twardem prawem dyktatorów.

Pren. kwart. **3 zł.** Zagranicą kwart. **5 zł.**

Ceny ogłoszeń: 1 str. za tekstem **100 zł.** Konto cz. w P. K. O. № 3105.

Redaktor i wydawca: STANISŁAW WŁODEK.

Godziny przyjęć: codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Zgoda 5.